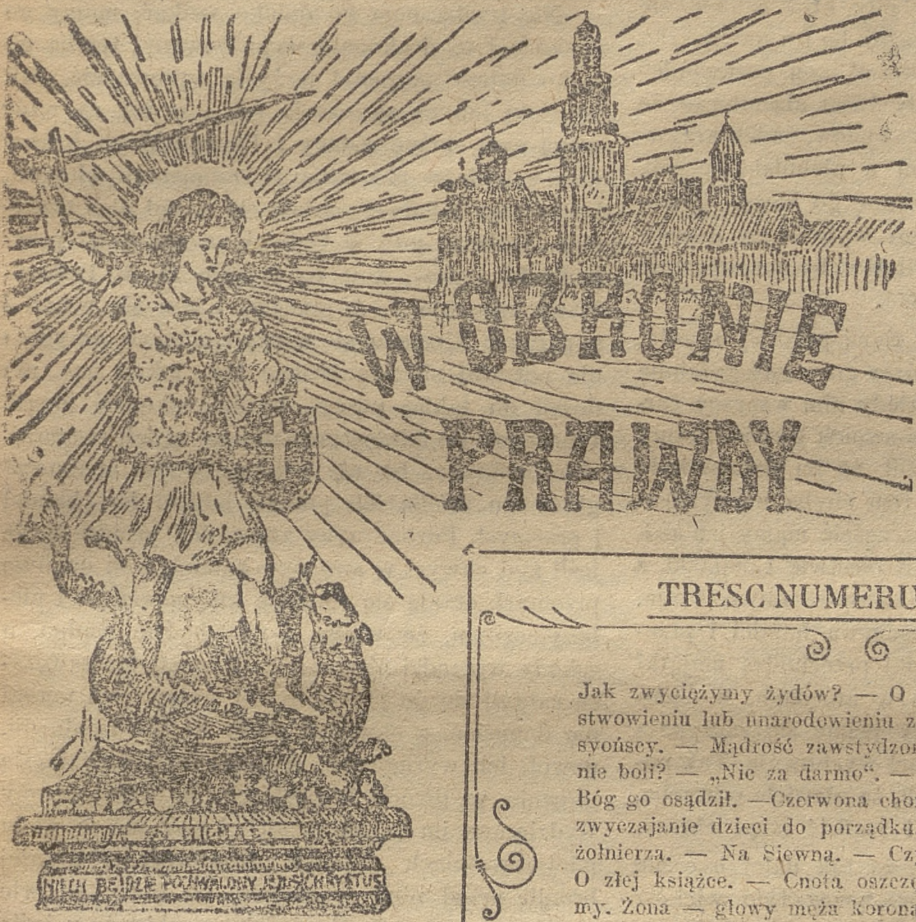
Nr. 8-9. Kraków, Sierpień-Wrzesień 1919. Rok XIII.

POLSKI SIEW



REDAKCYA I ADMINISTRACYA
Kraków, plac Maryacki L. 2.
Telefon 483.

Prenumerata roczna 4 K. półrocznie 2 K.

Cena egzemplarza wynosi 40 halerzy.

TREŚĆ NUMERU VIII-IX:

Jak zwyciężymy żydów?

Jedną z największych naszych bolączek, jakie nam w tych ciężkich początkach naszej wolności dokuczają, jest bezsprzecznie sprawa żydowska. Żyd któremuśmy jako tułaczowi żebrzącemu przytułku, pozwolili osiąść między nami, tak się wypasł na naszym chlebie, tak się rozpanoszył, że dziś, kiedy po zerwaniu pęt niewoli, chcemy się we własnem państwie jako tako urządzić, ład i porządek zaprowadzić, on śmie nam w tem przeszkadzać i niezliczone szkody wyrządzać. Rozzuchwalony przez naszych wrogów usuwa się od wszelkich ciężarów na rzecz państwa, w którem żyje, a korzyści czerpie i domaga się praw i przywilejów, o jakich żaden stan nie marzy.

Kiedy tysiące cierpią głód i niedostatek, kiedy z ostatnim pożyczonym groszem wędrują po kilka i kilkanaście mil za szczyptą zboża lub miarką ziemniaków, on siedzi spokojnie i dobrze odziany, on jeszcze porasta w pierze, robiąc na ogólnej nędzy świetne paskarskie interesy.

Od służby wojskowej, jak za rządów zaborczych, tak i dziś wszelkimi sposobami się usuwa, bo iść na front i życie narażać, to nie dla niego, w intendanturze zaś, która do niedawna była dla

niego prawdziwie ziemią, mlekiem i miodem płynącą, miejsca już podobne dać mu nie chcą. Za to przy każdej sposobności gotów jest łączyć się z wrogami, którymi ze wszystkich stron otoczeni jesteśmy, strzelać do naszych żołnierzy, jak we Lwowie i w Krakowie, a gdy ktoś ośmieli się powiedzieć mu: „żydzie uważaj, bo i u nas miarka cierpliwości przebrać się może“, „on potrzebuje“ na cały głos krzyczeć i cały świat alarmować, że w Polsce urządzają pogromy żydów, że ich krzywdzą i pastwią się nad nimi w nieludzki sposób. A świat mu wierzy i w obronę go bierze, gotów jest nawet żądać dla tego wybranego narodu wyjątkowych praw i przywilejów, by mu zapewnić spokojny i pomyślny rozwój.

Takim jest dziś żyd na ziemi polskiej osiadły, tak się odwdzięcza tym, którzy go w swe gościnne progi przyjęli i to wtedy, kiedy nim wszyscy gardzili i jak zarazę pędzili ze swoich granic. Żeśmy się dobrze z nimi obchodzili, że im dobrze było między nami, świadczy o tem chyba najwymowniej fakt, że na nasze nieszczęście mamy ich dzisiaj w Galicyi 900.000, w Królestwie 1.500.000, a zbogacili się tak, jak w żadnym innym kraju. W ich rękach głównie spoczywa handel i przemysł, do nich coraz częściej przechodzą majątki ziemskie, mamy ich pełno w urzędach, w sądownictwie, nawet do szkoły pchać się zaczynają i wstyd wyznać, nasze dzieci wychowują. Tak pozwoliliśmy się im opanować, że niewiele potrzeba, a za kark-by nas wzięli i rządzić nami chcieli.

I czujemy to wszyscy, że tak dalej być nie może, że tę pijawkę, która przez tyle wieków wysysała z nas najlepsze soki żywotne, a teraz kąsać zaczyna, trzeba już raz odtrącić i uczynić nieszkodliwą.

Wyznać jednak trzeba, że nie umiemy zabrać się do tego. Chcielibyśmy pozbyć się ich jaknajprędzej, pozbyć się ich tak, żeby raz na zawsze zniknęli z pomiędzy nas, nie wiemy tylko w jaki sposób mamy zacząć to odżydzenie, bo gdzie ich zaczepisz, oni zaraz na gwałt krzyczą, że się ich prześladuje. Że gwałtem nie da się tego osiągnąć, o tem już chyba się wszyscy przekonali. Tą drogą nie tylko nie uwolnimy się od nich, ale jeszcze ściągniemy na siebie nienawiść tych, którzy ich w obronę biorą. Musimy więc koniecznie chwycić się innego sposobu obrony, sposobu, któryby nie dawał najmniejszej sposobności do posądzania nas o gwałty i pogromy, a jednak usuwał im grunt z pod nóg i zmuszał ich do odczepienia się od nas.

A skąd taki środek wziąść?

Nie trzeba nam go daleko szukać, mamy go u siebie i to doskonale wypróbowany, trzeba go tylko dobrze poznać i w życie wprowadzić. Jak w wielu innych sprawach, tak i w tej, za wzór mogą nam służyć rodacy z Poznańskiego, którzy dziś z żydami nie mają najmniejszego kłopotu, bo garstka zaledwie zdołała się wśród nich utrzymać. Podczas gdy w Galicyi na stu ludzi przypada 11 żydów, a w Królestwie 15, w Poznańskiem zaledwie 1. A przecież i tam się pchali i poparciem Niemców się cieszyli, a mimo wszystko nie potrafili się zagnieździć tak, jak u nas, nie doszli do takiej potęgi, by im szkodzić mogli. Dlaczego? Bo odrazu poznano się na ich szachrajskiej polityce, bo nie pozwolono im opanować głównego źródła ich potęgi, jakiem jest handel i przemysł. Poznańczycy zrozumieli to odrazu, że jeśli żyd chwyci w swe ręce handel, jeśli opanuje przemysł, stanie się wkrótce tak potężnym i niebezpiecznym, że walka z nim będzie trudna, a szkody wyrządzi niezliczone. Dlatego też zawczasu zabrali się do pracy, by do wzrostu ich potęgi nie dopuścić, a stamtąd, gdzie się już usadowili, powoli ich wyrugować. A praca ta rozwijała się głównie w dwóch kierunkach: z jednej strony, wydzierano im z rąk handel, który już w wielu miejscowościach potrafili opanować, z drugiej bronili przed nimi przemysłu, po który chciwie swe łapy wyciągali. Powiedziano sobie, że u żyda nikt nic nie kupi, żydowi nic nie sprzeda, że nikt nie weźmie towaru, któryby pochodził z żydowskiej fabryki i nad wykonaniem tego przykazania jaknajgorliwiej czuwano.

Chcąc przeprowadzić ten plan uwolnienia się od żydów, postanowili przedewszystkiem wykształcić cały szereg uczciwych kupców polskich. W tym celu zakładano banki ludowe, które ludziom fachowo wykształconym, a nieraz biednym udzielały na dogodnych warunkach pożyczek na założenie i prowadzenie przedsiębiorstw kupieckich, które się wkrótce stały głównemi placówkami dla obrony przed żydostwem. Aby zaś i produkty rolnicze nie dostały się w szachrajskie

ręce żydowskie, stworzono osobne spółki włościańskie t. z. „Rolniki“, w których każdy włościanin może bez obawy, że go oszukają, sprzedać wszystko, co ma do zbycia, a zarazem kupić to, czego potrzebuje czy to do roli, czy do gospodarstwa. W ten sposób obwarowano się, by nikt nie był zmuszony iść po coś do żyda lub sprzedać mu coś ze swego, bo wszystko można nabyć i sprzedać po uczciwych cenach w przedsiębiorstwach polskich. A choć może z początku tu i ówdzie trzeba było za coś zapłacić o parę fenigów więcej, niż w sklepie żydowskim, nikt się tem nie zniechęcał i nie zrażał, wiedząc o tem dobrze, że żyd raz da taniej, a dziesięć razy oszuka. Zato dziś, kiedy my w Galicyi i Królestwie siedzimy po uszy w kieszeniach żydowskich i zdaje nam się, że gdyby nie żyd, tobyśmy nie mieli co jeść, ani się w co ubrać, Poznańczycy są panami u siebie, a żyda nawet na lekarstwo trudno znaleźć. Nie uwolnili się od nich gwałtem i pogromami, ale wytrwałą i rozumnie prowadzoną pracą, która im się sowicie wynagrodziła.

Tego sposobu obrony i my się chwycić musimy, jeśli chcemy uwolnić się już raz ze szponów żydowskich. Musimy sobie otwarcie powiedzieć, że to, iż oni dziś bogaci i silni, iż nam na każdym kroku szkodzą i gardzą nami, to nam samym przedewszystkiem mają do zawdzięczenia. Bo kiedy trzeba było coś kupić, myśmy znali tylko sklep żydowski, kiedy sprzedać, nad żyda nie było lepszego kupca, kiedy pożyczyć, tylko do żydowskiej kasy mieliśmy zaufanie. Zato myśmy dziś nędzarze, a oni bogaci, my się błąkamy i o wsparcie żebrzemy, a oni rozpierają się na śmieciach naszych ojców i dziadów. Czas już najwyższy, byśmy przejrzeli i zaczęli myśleć o naprawie tego, cośmy własnem niedołęstwem zepsuli. Czas już, by hasło: „swój do swego“ stało się dla wszystkich świętem przykazaniem, by wszyscy zrozumieli, że kupując u żyda lub sprzedając żydowi, popełniają największą zbrodnię wobec własnej Ojczyzny. Zabierzmy się do pracy tak, jak to uczynili nasi bracia z Poznańskiego, a za kilka lat ku wielkiej radości spostrzeżemy, że mniej u nas „chałatów“ zato więcej pieniędzy w naszych kieszeniach.

Jotes.

O tak zwanem upaństwowieniu lub unarodowieniu ziemi.

Upaństwowić, czy — jak inni mówią — unarodowić ziemię, to zn. odebrać ją prywatnym właścicielom, a oddać w zupełności na własność narodu, państwa. Taki program stawiają sobie socyaliści odnośnie do sprawy rolnej. Jak to jednak w praktyce przeprowadzić, na to niema między nimi zgody. Dawniejsi twórcy i głowacze socyalizmu, jak np. Marks, chcieli, aby państwo, odebrawszy ziemię od właścicieli, potworzyło duże majątki i niemi gospodarowało samo, przymusowo biorąc do robót rolnych robotnika. Chcieli z ziemią podobnie postąpić, jak chcą z fabrykami. Ten program uległ jednak zmianie. U nas dziś spotkać się można z dwojakim programem socyalistycznym odnośnie do ziemi, z programem bolszewickim i programem Polskiej Partyi Socyalistycznej. (P. P. S.).

Według programu bolszewickiego należy wywłaszczyć wszystkich, tak wielkich, jak i małych właścicieli. Wywłaszczenie ma nastąpić bez odszkodowania, osobom zaś poszkodowanym ma być wypłacona tylko tymczasowa zapomoga na tak długo, jak długo nie znajdą one sobie jakiegoś innego sposobu do życia. Ziemię zaś całą podzieliłoby się na małe gospodarstwa i potem dzierżawiło rolnikom. Odbywałoby się to tak. Każdy, ktoby chciał gospodarzyć na gruncie, zgłosiłby się do państwa z prośbą o dzierżawę. Państwo wydzieli mu naprzód kawałek ziemi pod dom, budynki gospodarskie i ogród i to puści mu w wieczystą dzierżawę, to znaczy, gospodarz nie będzie mógł tego ani sprzedać, ani odnająć, ale, jak długo będzie płacił czynsz regularnie i będzie zajmował się gospodarką rolną, tak długo państwo z tego domu i ogrodu nie może go wyrugować. Prócz tego, co otrzyma w wieczystą dzierżawę, może odnająć sobie jeszcze kawał gruntu za roczną opłatą, na pewien czas tylko, ale jeno taki kawałek, jaki potrafi sam ze swoją rodziną obrobić, bo najmować do roboty nie wolno będzie. Jeżeli gospodarz stanie się niezdolny do pracy, to mu się grunt odbiera.

Program rolny Polskiej Partyi Socyalistycznej różni się nieco od programu bolszewickiego. Według tego programu n a r a z i e ma być wywłaszczona tylko większa własność, małych zaś rolników trzeba z a c h ę c a ć, by sprzedawali ziemię państwu i p r z y z w y c z a j a ć ich do gospodarowania na dzierżawie zamiast na własnem. T o s t o p n i o w o d o p r o w a d z i d o z u p e ł n e g o z n i k n i ę c i a p r y w a t n e j w ł a s n o ś c i. Państwo będzie dzierżawić ziemię albo całym spółkom rolniczym, które prowadzić będą większe gospodarstwa, albo poszczególnym rol-

nikom w kawałkach od 10 do 15 morgów. Dzierżawa byłaby dożywotnią.

Czy taki program upaństwowienia ziemi i dzierżawy przyjmie się u nas? Stanowczo twierdzimy, że nie. U nas jest przywiązanie do ziemi, nasz chłop chce koniecznie mieć ziemię na własność, dzierżawa go nie zadowoli. Chłop godził się i żądał nawet wywłaszczenia większej własności, ale po to tylko, aby tę ziemię rozdzielić między siebie, a nie, aby ją oddać państwu. Czynszownikiem zostać, zależnym od państwa, od jego urzędników, rozdzielających i dzierżawiących ziemię, uważałby sobie za krzywdę i hańbę. I słusznie, każdy kto ziemię swą własnym trudem nabył, własnym potem użyźnił, ma prawo, by ta ziemia należała do niego zupełnie, by mógł ją swym dzieciom przekazać i nią według własnej woli rozporządzać. **F. B.**

Bohaterzy syońscy.

W czasie wojny widzieli to wszyscy, czy chcieli widzieć czy nie chcieli, jak dobrze się żydom powodziło.

Jedni z nich siedzieli w centralach, naturalnie ubrani w mundury i zaopatrywali siebie w tysiące, a swoich, to jest dzieci Abrahamowe w żywność; inni w szpitalach robili interesa na chorych; inni rekwirowali lub byli dostawcami wojska. Wojna to dla żydów prawdziwa kopalnia złota.

To też żydzi wojnę lubią. Od kilkudziesięciu lat prowadzą wojnę socyaliści ze starym porządkiem świata. A że żydzi wojnę lubią, zaraz się do socyalistów przypytali i rękę im podali. No i geszeft idzie wspaniale.

Proletaryusz biedaje, krzyczy, strajkuje, dobija się lepszej doli — a żydek razem z nim udaje proletaryusza i także krzyczy, gazety pisze, kapitalistom się odgraża, a tymczasem cichutko na workach złota siedzi.

Wojna idzie doskonale.

Żydek proletaryuszem kieruje, nim dowodzi, jad mu do duszy leje i serce goryczą przepełnia, a sam swych kapitałów bezpiecznie używa.

Kapitalista żyd, robotnikowi proletaryuszowi oczy ładnie zawiązał i tam go prowadzi, gdzie kapitalistów niema, a tak może być o swoje kapitały spokojny. Czyż nie jest to „fein kepełe"?

O tak, wojna z kapitalistami, to dla żydów tak samo złotonośna wojna, jak wojna z Moskalami i Prusakami.

To też za socyalistami stoją żydzi jak mur.

Tylko przy białem świetle prawdziwej pokory
Ujrzysz we wnętrzu swojem prawdziwe potwory.

Bohdan Zaleski.

Mądrość zawstydzona.

Dwóch ludzi, maszynista kolejowy i kupiec, przechodziło kolo figury przy drodze stojącej.

Kupiec zdjął z głowy kapelusz z szacunkiem, maszynista zaś wcale kapelusza nie uchylił, ale po chwili odezwał się do kupca tak: „Jak pan może robić jeszcze takie głupstwo i przed kamieniem kapelusz zdejmować! Przecież figura to martwy kamień".

— Tak z pewnością, że martwy kamień, odpowiedział kupiec. Ja o tem dobrze wiem i każdy to rozumie.

Ale powiedzcie mi, czemu wy na ścianie zawieszacie obrazy i swoją fotografię. Gdyby kto na waszą fotografię napluł, tobyście mu tego nie darowali. Nie prawda?

— Rozumie się, żebym nie darował — rzekł maszynista.

— No, a przecież obraz lub fotografia, to nic innego nie jest, jak martwy papier i farba. I wy robicie takie głupstwa, że martwy papier na ścianie wieszacie i to macie w poszanowaniu.

Maszynista nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Kupiec znowu mówił dalej. Choć wiem, że figura to martwy kamień, ale przed nim kapelusz zdejmuję, bo ten kamień jest zarazem obrazem P. Jezusa, albo Świętego. Kłaniając się, nie wyrażam szacunku kamieniowi, ale P. Bogu lub Świętemu, w kamieniu wyrzeźbionemu. To przecież chyba i dziecko pojmuje, że żywego Świętego nie można na figurze umieścić.

Maszynista nic nie mówił, tylko się zamyślił, a w duszy z pewnością rozważał, że to takie jasne, a jemu socyaliści tak zaćmili w głowie, iż tego nie pojmował.

Inną razą był pewien socyalista na Kalwaryi i widział, jak ludzie szli na kolanach po „gradusach" i całowali te stopnie.

Socyalista bardzo się litował nad tymi ciemnymi — jak mówił — ludźmi, że martwe kamienie całują.

Gospodarz jeden słyszał te urągania miejskiego mędrka i zapytał go: „A niechno mi pan powie, czemu to ludzie nie całują kupki kamieni przy drodze, tylko całują te kamienne stopnie?

Na to socyalista nic nie odpowiedział, ale odszedł dalej. **R.**

Czy i was to nie boli?

Wybrałem się polami za miasto. W tyle zostały kamienice i wille, za mną zostały pełne prochu ulice, za mną pozostał niewściągliwy miejski gwar, który w miarę, jak posuwałem się naprzód, coraz ściehał, aż ściehnał zupełnie. Szedłem wązką drożyną, prawie miedzą, przez zaorane pola, które teraz, pod lipiec, bujały zielonemi łodygami zakwitających ziemniaków, rozwijającymi się krzaczkami kapusty i pnącą się po palikach na cię grubej fasolki. Minałem jakiś dom z obejściem i ogrodem gęsto obsadzonym warzywami, minałem łan srebrzystego, dojrzewającego żyta, niwkę owsa, jęczmienia, w końcu wydostałem się na szczere, obszerne pole, na którem uwijała się kolo roboty chmara kobiet i chłopstwa.

Pole obsiane było koniczyną, którą przed kilku dniami skoszono, a teraz — w skwarny, upalny dzień — ludzie ci zebrali się na to, by to siano, ten Boski dar, okopisto rozwieszony po palach i ostrowkach, zebrać i zwieźć na drabiniastym wozie do domu. Pogoda była prześliczna, błękit wysiniał, pod gorącem tchnieniem słońca przechodził w mgłę. Koniki polne cykały w trawach, z wysuszonej koniczyny rozchodził się silny zapach, który człek odczuwał tem więcej, im dłużej bawił w prochu i zaduchu miejskim. Ludzie zwijali się i widać było, że nie żałują ramion ani bar swoich, jedni grabili, drudzy znosili z ostrewek kłaczki siana i podawali na wóz parobczakowi, co je rozmieszczał, jak należy i deptał całym ciężarem swego nieszczupłego ciała. Radość była patrzeć na tę robotę i na tych ludzi. Pachnące trawą pole i lekko szumiące kłosy zbóż, falujących na wietrze, rozkołysały duszę tchnieniem wsi, polskiej urodziwej wsi. Czuł człowiek, że tu znalazłby dla spokoju i odpoczynku na czas jakiś wszystko i że chyba brak tu jednej tylko rzeczy, a mianowicie — śpiewu, wesołego, wsiowego śpiewu.

Naraz ujrzałem pośród tej gromady człowieka — nie, dwóch ich było. Stali dotąd poza wozem i byli dla mnie niewidzialni, teraz wysunęli się naprzód i szli razem, podpierając rękami boki i pykając fajki. Spojrzałem i — zrozumiałem zaraz, czemu tu niema śpiewu, czemu dusza chłopska, ta, co kocha się w melodyjnej śpiewance, zacięła się i nie otwiera ust. Ludzie ci dwaj, to byli żydzi — zapewne ojciec i syn. Pole to dzierżawili od kogoś, oczywiście od katolika, a teraz rozpierali się, jak pany jakie albo dziedzice i doglądali, żeby nikt nie próżnował — nikt z katolików, bo rozumie się, że ta pracująca gromada, byli to katolicy. Ujrzałem to, popatrzyłem się na tych współwyznawców swoich, na ten polski i katolicki naród — a potem popatrzyłem na żydów. I wziął mnie wstyd, chwycił mnie za serce taki okrutny wstyd, taki ból, jakby mi kto nóż wbijał do serca. Żyd, jakgdyby odczuł, co się we mnie dzieje, podniósł głowę i gładził brodę uśmiechnięty. A ja — odwróciłem się i odszedłem, aby więcej na taki straszny obraz nie patrzeć. Po drodze myślałem rozżalony, jak tu rozpocząć pracę nad tym narodem, który niecierpi żyda, pyskuje na niego, rzuca się w pogromach na jego mienie, a potem idzie do niego na służbę i kłania mu się i daje kark pod jego jarzmo. Jak tu pracować nad takimi, co zatracili poczucie, już nie polskiej, ale ludzkiej godności? Nad takimi ludźmi żyd zawsze będzie panował!

Wróciłem do domu, lecz długo nie mogłem się ukoić. Potem zająłem się czem innem, zwróciłem się do swych obowiązków i o żydowskim panowaniu na polskim łanie zapomniałem. Ale nie zapomniałem zupełnie. Są godziny, że mi ten łan i ci robotnicy katoliccy i ci dwaj żydzi stają przed oczyma, a równocześnie napełnia serce moje nieopisany żal i ból, jakby tam w tem sercu mojem jaki ogień się palił trujący i gorzki. I wstyd mnie bierze nieopisany i nie wiem, co czynić, jak postąpić, aby coś podobnego już nigdy a nigdy się nie zdarzyło. Wy, co to przeczytacie, odpowiedzcie mi sami — a przynajmniej starajcie się ze swej strony, ile możecie, by się to nigdy nie powtórzyło. Bo czy i was to nie boli? (s.)

„Nic za darmo“.

Jechałem niedawno koleją. Obok mnie siedziało kilkoro ludzi. Dwie poczciwe kobiety opowiadały sobie, jak to pięknie odbywał się w ich kościele ślub i jak kapłan udzielał błogosławieństwa nowej parze.

Inna osoba mówiła, że kapłan nie zawsze udziela takiego błogosławieństwa.

Chłop, który razem jechał, gdy to usłyszał, wtrącił się do rozmowy, dodając, że ksiądz dłużej się modli, gdy mu zapłacą więcej, a krócej, gdy mu zapłacą mniej.

Ja sobie wtedy pomyślałem: Pewnie z ciebie ludowiec. Ludowcy lubią o takich rzeczach mówić, bo oni się na wszystkiem znają. To samo socyaliści. Gdy zaś jest mowa o duchowieństwie, to mu zawsze łatkę przypną.

Tak było i tutaj. Chłopek posądził księdza, że przy ślubie daje błogosławieństwo wedle pieniędzy.

Tymczasem, czy kapłan daje ślub za zapłatę, czy też całkiem darmo, to zawsze udziela przepisanego błogosławieństwa, gdy narzeczona jest panną; gdy zaś jest wdowa, to błogosławieństwo to odpada, bo się go udziela tylko raz.

Przy tej sposobności warto się zapytać, czy to prawdą jest, co mówią „dobrzy“ katolicy, że

ksiądz nic zadarmo nie zrobi. Raczej należałoby się zapytać, za co właściwie ksiądz pieniądze pobiera. O ile wiem, to ksiądz pobiera tylko pieniądze od pogrzebu i od ślubu, do którego też należą zapowiedzi.

Mszy odprawia około 80 rocznie darmo za parafian, tym tytułem, że używa plebańskiego gruntu. Innych mszy nie odprawia za parafian, ale według swej intencyi, lecz nigdy nie żąda, aby mu kto na msze jaki datek składał, chyba wtedy, gdy kto chce, by się odprawiła msza św. według życzenia dającego. Choćby przez cały rok nikt na msze św. nic nie dał, to i tak codziennie w kościele odprawiało się będzie.

Do spowiedzi można uczęszczać co tydzień, a zawsze darmo. Komunię św. wierni mogą przyjmować codziennie bezpłatnie. Na Wielkanoc zaś mają obowiązek przyjmować komunię św. wszyscy, ale od nikogo nie żąda się ani nie przyjmuje zapłaty. W niedzielę każdą i każde święto jest w kościele nabożeństwo cały dzień za darmo. Jest prymarya, suma, kazanie, nieszpory; nabożeństwo majowe, czerwcowe, październikowe i t. d. za darmo.

Za darmo ksiądz jeździ do chorych. W niewielkiej parafii ksiądz jedzie do chorego rocznie sto razy. Gdyby jeździł za pieniądze, jak lekarz, to w tych czasach w jednym roku zarobiłby kilkanaście tysięcy, zwłaszcza w większych parafiach, gdzie bywa rocznie po 500 chorych, albo więcej.

Za darmo ksiądz prowadzi metryki parafialne, to jest księgi urodzonych, zaślubionych, zmarłych, bierzmowanych, zaopatrzonych chorych i t. d. Wszystkie metryki prowadzi podwójnie, bo odpisy metryk posyła do władzy. Prowadzi też wykazy zmarłych dla sądów: wykazy dzieci do szczepienia pierwszego i drugiego; wykazy do wojska dla starostwa i wykazy ruchu ludności. W niewielkiej parafii załatwia ksiądz setki „kawałków“ urzędowych z władzami. Za to wszystko nie bierze nic. Na Węgrzech zaprowadzono urzędy cywilne do prowadzenia metryk. Te cywilne władze, ma się rozumieć, pobierają ładne pensye za prowadzenie metryk, ale księdzu za to nie płacą i nie bierze też nic.

Na pióra i papier otrzymuje rocznie w zwyczajnej parafii 20 koron rocznie. To jest całe wynagrodzenie!

To samo powiedzieć trzeba o szkole. Obecnie panowie nauczyciele biorą od 5 do 9 tysięcy rocznej płacy, a niejeden mniej uczy w szkole niż ksiądz, który nietylko musi w szkole uczyć, ale jeszcze do szkoły jeździć za darmo.

Dziewięć godzin tygodniowo wedle ustawy obowiązany jest ksiądz parafialny uczyć darmo, a co uczy ponad 9 godzin na tydzień więcej, za to otrzymuje wynagrodzenie, ale bardzo marne, bo 20 K. rocznie za jedną godzinę.

Co się pobiera przy chrzcie, to drobnostka: jedna lub kilka koron. Przy ślubie płaci nie jeden, ale dwóch naraz, bo dwóch się żeni. W naszej parafii płacą teraz 10 K., to na jednego wypada 5 K. na całe życie.

Pogrzebu sam sobie człowiek nie sprawia, tylko mu sprawiają spadkobiercy. I tu niema wyznaczonej kwoty; można opłacić pogrzeb tanio i będzie skromny. Za skromną trumnę trzeba dać teraz 100 K., a w naszej parafii skromny pogrzeb nie kosztuje teraz więcej jak 50 koron. Kto żąda większego, płaci naturalnie trochę więcej. No i to są wszystkie opłaty.

Pytam was teraz, czytelnicy, pokażcie mi lekarza, adwokata, notara, geometra, kupca, chłopa, rzemieślnika, robotnika, któryby robił co komu za darmo. Ksiądz właściwie wszystko robi za darmo i za to nazywają go „zdziercą“. Nikt się nie pyta, co płaci służbie, co go kosztuje ubranie, podatki, jakie ma potrzeby. Gdy ksiądz zamówi buty, ubranie, szafę, to go majster umie pociągnąć, bo któż zapłaci, jak nie ksiądz. Gdy zaś przyjdzie dać, to się mówi ksiądz „zdziera“.

Piszę to nie dla obrony księży, ale dlatego, że wielu pyskuje, a nie zastanawia się nad tem, co mówi.

Tak niedawno słyszałem, jak pewien socyalista na te rzeczy pyskował, a słuchający nic nie umieli odpowiedzieć, ale sobie powtarzali: „dobrze mówi“. A on plótł same głupstwa ze złości na duchowieństwo i z głupoty. Wszak taki ani do kościoła nie chodzi, ani się nie spowiada, ani do komunii św. nie idzie — więc mu się zdaje, że się za to płaci. On tylko raz miał sprawę z księdzem, gdy ślub brał i wtedy musiał się opłacić — i to pamięta całe życie. A co dał zarobić przy tej okazyi karczmarzowi i muzykantowi, o tem zapomniał. Ślub w kościele kosztował razem 20 koron, wesele 200 koron. Ślub konieczny, wesele niekonieczne. O ślubie pamięta całe życie, że go płacił; o weselu zapomniał.

Już dawno temu się przypatruję i przysłuchuję, ale widzę, że świat, jakby nie miał rozumu albo oczu.

Czy kiedy zmądrzeje? Jeżeli go socyaliści i „pobożni“ ludowcy do reszty nie ogłupią, może zmądrzeje. Zarzycki.

Czerwone hasła.

Wolność, równość i braterstwo powtarzają bez końca nasi socyaliści za rewolucyonistami francuskimi z 18 wieku.

Francuscy rewolucyoniści sądzili, że coś nowego wymyślili. Nasi bolszewicy nawet do nowości pretensyj mieć nie mogą. Ich hasła to tandeta i małpowanie — i to dla interesu, bo za socyalista-

mi stoją jak mur żydzi, którzy wszystko tylko dla geszeftu czynią.

Francuscy rewolucyoniści ani wolności, ani równości, ani braterstwa nie zaprowadzili. Zaprowadzili tylko republikę, ale ta dziś niczem się nie różni od królestwa, a dowód najlepszy na to jest ten, że we Francyi jest także socyalistów kupa.

Gdyby socyaliści szczerze dążyli do wolności, równości i braterstwa, toby ich za to można tylko chwalić.

Ale, niestety, to prości obłudnicy i oszuści.

To się na każdym kroku pokazuje.

Jakaż jest u socyalistów wolność? Czy ci pozwolą, byś był katolikiem? Nie. Socyaliści odbierają swoim wyznawcom wiarę, bo szydzą z pobożności, ze spowiedzi, z duchowieństwa, z pastów. Gdy zaś przyjdą do rządów, to kościoły zamykają, a duchownych prześladują i zabijają. Czy to jest wolność?

Socyaliści zmuszają rodziców, aby dzieci posyłali do szkoły bezwyznaniowej; socyaliści zaprowadzają pańszczyznę, bo każdy człowiek musi służyć państwu, a rząd państwowy żywi go za to zdechłina końską, psiem mięsem, cuchnącemi rybami (tak jest w Rosyi). Czy to jest wolność? Pod rządem socyalistycznym nie wolno ani gazety drukować, jakiej chcesz, ani mieszkać jak chcesz, ani handlować czem chcesz. Czy to wolność?

A równość u socyalistów jaka jest?

Socyaliści pozakładali wiele konsumów spożywczych. Czy rozdzielają równo żywność dla wszystkich? Kto socyalistą nie jest, ten nie dostaje nic. A czy płacą równo wszystkim? Wcale nie. Mężowie zaufania, agitatorzy, urzędnicy w kasach chorych — ci sobie żyją jak ministry. A w Rosyi to socyalista Trocki lepiej żyje jak car, gdy inni tymczasem z głodu giną.

O braterstwie socyalistycznym szkoda nawet mówić.

To kaci, a nie bracia. Przecież wiadomo wszystkim, jak to socyaliści umią gryźć innych swymi językami. Przecież gazetki socyalistyczne przepełnione są oszczerstwami, przezwiskami i kpinami z innych. To ma być braterstwo?

Pracowałem razem ze socyalistami, to mi tak dokuczali całymi dniami, żem musiał robotę dobrą porzucić, bo mi życie przy nich zbrzydło.

Żeby jeden człowiek drugiemu był bratem, to go trzeba uczyć, jakie ma jeden obowiązki względem drugiego. Czy tego kiedy socyaliści uczą swych ludzi? Nigdy. Oni wiecznie szczują przeciw drugim, wiecznie buntują, „praw" tylko uczą, ale obowiązków nigdy.

Socyaliści też tylko tam są dobrzy, gdy chodzi o żądania; gdy chodzi o spełnienie powinności, tam ich niema.

Rząd socyalistyczny w Rosyi ręce ma po łokcie umaczane we krwi ludzkiej, a śpiewa o braterstwie. Ścinanie głów, to socyalistyczna miłość bliźniego.

Gdyby socyaliści zaprowadzili na ziemi wolność, równość i braterstwo, toby zaprowadzili prawdziwy raj. Tymczasem oni raj tylko obiecują, a piekło dla ludzi już tu na ziemi gotują.

Zamiast wolności, zaprowadzają wszędzie przymus.

Zamiast równości, poddaństwo.

Zamiast braterstwa, wieczną walkę.

Przymus, poddaństwo, walka — to piekło. Socyaliści z piekła się śmieją, a równocześnie piekło zapalają. Kto chce tego piekła zakosztować, niech się do „czerwonych" zapisuje.

Co do mnie, wolę „czarnego" — niż „czerwonego". Ten czarny tylko duszy pragnie, ten czerwony zaś ciało i duszę zatraca. R.

Bóg go osądził.

„Kuryer krakowski" z dnia 10 sierpnia b. r. doniósł o wypadku, który miał miejsce w jednym z rewirów węglowych Morawskiej Ostrawy. Pracował tam dobrze płatny górnik. Przewrót, jaki się dokonał w ostatnich czasach, zawrócił mu w głowie, upoił go, jak mocne wino. Był on z usposobienia swego rewolucyonistą, przewrotowcem. Szczególniej cieszył się, że szyb, w którym pracował, nie nosił już dawnej nazwy „Habsburg", lecz nazywał się szybem „Postępu". Zmiana ta tak podziałała na niego, że czuł do pracy więcej zapału, że pracę w tym szybie naprawdę pokochał, bo ten szyb, to „Postęp", a postęp u niego oznaczał burzenie wszystkiego, co nam zostawili w spuściźnie o j c o w i e, nie wykluczając wiary w Boga.

Zawsze chodził do szybu z dumną, podniesioną głową. Tam, przy drodze, którędy chodził do kopalni, wznosił się krzyż. Tysiąc razy już przechodził koło tego krzyża i zawsze uśmiechał się, gdy widział, jak mężczyźni zdejmowali przed nim kapelusze, jak się przed nim żegnały kobiety. Oto właśnie spieszy do kopalni i staje przed — Ukrzyżowanym. Staje w zamyśleniu. Tak sobie sumuje: Habsburg powierzył się Twojej opiece, opiece krzyża, a Tyś go nie uratował. Przyszedł bowiem Postęp i zdmuchnął Habsburga z tronu. Otóż Postęp, który niesie oświatę, podpisał wyrok i na Ciebie i musi Cię także zdmuchnąć. Czas Twój, Chrystusie, już się skończył. Przyszedł Postęp i wcale Cię nie potrzebuje.

Tak sobie myślał ten górnik, przewrotowy górnik socyalista, patrząc na krzyż i na Tego, co na krzyżu wisiał rozpięty. Odrazu zabrał się do dzieła i postanowił krzyż ten zniszczyć. Wziął w dłoń kilof, odrąbał Panu Bogu nogi i odszedł do kopalni z najgłębszem przeświadczeniem, że

czynem tym dokonał wielkieg odzieła i przysłużył się postępowi.

Poszedł do kopalni i . . . . więcej już z kopalni nie wrócił. Nad ranem bowiem znaleźli go towarzysze martwego, leżącego w galeryi, gdzie pracował. Oderwała się bowiem wielka bryła węgla, spadła na niego i zdruzgotała mu kość pacierzową.

A kiedy ciało jego wywozili na cmentarz, za trumną szło strasznie mało ludzi. „Bóg go osądził“ — mówili.

Czerwona chorągiewka.

Widziliście chorągiewkę na szczycie wieży albo domu? Zawsze się ona zwraca tam, gdzie wiatr zawieje. Wieje wiatr na północ, to ona fruwa ku północy, wieje wiatr na zachód lub wschód, to i ona kieruje się ku zachodowi lub na wschód, kiedy wreszcie dmuchną prądy wichrowe w stronę południa, to i chorągiewka zmienia kierunek i patrzy na południe. Zmienia się ona co chwila, każdemu dmuchnięciu wiatru posłuszna, nie stoi nigdy trwale na jednem miejscu, nie idzie nigdy w jednym kierunku, nie walczy z wichrem — co wiatr chce, to z nią robi.

Ta chorągiewka przypomina mi się, gdy myślę o socyalistach. I oni się chwieją na każdym kroku, raz mówią tak, drugi raz siak, dziś krzyczą hałaśliwie, że oni tego nie chcą, co się im zarzuca, jutro będą bronić to, co dziś potępiali. Takimi zmiennikami są oni przedewszystkiem, gdy chodzi o religię, o wiarę i o Boga. Czego się już oni tutaj nie nagadali? Kiedy do wyborów było daleko, kiedy o głosy wcale im nie chodziło, nie wahali się drwić i szydzić z wiary, z religii, a nawet z Boga. Kiedy wybory przyszły i kiedy my powiedzieliśmy jasno, otwarcie: Słuchajcie, socyaliści! wy krzyczycie dzisiaj, że bierzecie w obronę skrzywdzonych i upośledzonych, że bronicie robotnika, wyzyskiwanego przez kapitalizm, że chcecie sprawiedliwości na świecie, że chcecie podzielić ziemię między wszystkich. Gdyby wam tylko o to samo chodziło, gdybyście wy naprawdę walczyli tylko o naprawienie doli proletaryatu, to my nie tylko, że nie śmielibyśmy rzucać się na was, ale w pierwszym szeregu szlibyśmy z wami. Lecz obok swych haseł reformy stosunków społecznych i rolnych wy psujecie stale i celowo wiarę ludu roboczego, wy obniżacie poziom moralny najniższych warstw, wy walczycie z religią i z Bogiem i dlatego my z wami walczyć musimy i dlatego każdy chrześcijanin-katolik w sumieniu jest obowiązany z wami walczyć. A nie mówimy tego tylko my sami, ale nawet wasz uczony socyalista Vanderwelde pisał, że rzeczywiście katolik nie może sumienia swego pogodzić ze socyalizmem.

Tak postawiliśmy sprawę przed socyalistami. A oni co? Oni rzucili się na gwałt do roboty i zaczęli na wszystkie boki krzyczeć i wołać, że to nie prawda, że socyalista może być katolikiem, że socyaliści nie walczą z religią, że oni także wierzą w Boga i t. d. Krzyczeli tak na całe gardło, bo czuli, że gdyby nasz lud, a nawet nasz proletaryusz przejrzał ich do dna, i ich bezbożność i bezreligijność, nie dostaliby ani jednego głosu. Od tych głosów tedy wyborczych zawiał wiatr i oni chwycili swój sztandar w łapę i kazali mu, żeby się w tę stronę obrócił, gdzie wiatr popędza.

Ale przyjrzyjmy się, co oni pletli wtenczas, gdy podmuchu wyborczego wcale jeszcze nie było i gdy oni kołysali się upojeni w powijakach austryackiej biurokracyi. Hej, czego oni nie nagadali i nie napisali! Co im żywnie ślina na język przyniosła, to wypluwali na papier. Jeszcze na szereg lat przed wojną socyaliści nasi razem z niemieckimi uchwalili w Wiedniu, że oni chcą szkoły świeckiej czyli bezwyznaniowej. Wydali potem t. zw. „czerwony katechizm“, w którym jasno i bez ogródek pisali, że chcą, aby szkoła była bezwyznaniowa, to jest aby nie uczono w niej zupełnie religii, aby nie jeździł tam żaden ksiądz na naukę religii. To było ich żądanie zasadnicze, to jest ich żądanie po dziś dzień. I oto o dziwo! W czasie wyborów, gdy my oburzyliśmy się i powiedzieliśmy, że to niesłychane, aby w Polsce zaprowadzić szkołę świecką czyli bezwyznaniową, bez nauki religii — to oni, jak te chorągiewki, jak te kurki na kościele, zwinęli strzępy czerwonego sztandaru i bałamucili lud, że oni chcą szkoły świeckiej, ale nie wyrzucając z niej nauki religii. I gadaj tu z nimi — raz tak, drugi raz siak, jak te niedowarzone głowy. Mówili tedy przed ludem po wiecach, że ich religia nic nie obchodzi, że religia może zostać w szkole. — Wnet jednak zaczęli z innej beczki i w swych pismach dowodzili, że wielkimi ciężarami, bo nauka religii jest w szkole zbyt kosztowna, albo też pisali, że księża sami tylko chcą uczyć dzieci i że szkoła świecka to nauczy, żeby uczyli świeccy, a nie sami księża. Jest to jednak takie śmieszne i takie podłe twierdzenie, że chyba tylko głupi mógł mu uwierzyć. Bo ileż też ksiądz bierze za religię w szkole, np. po wsiach? Do 9 godzin uczył za darmo, za to zaś co uczył ponad 9 godzin, dostawał tych 100 czy 200 koron rocznie — i na tem koniec. Ale socyalistom o prawdę nie chodziło. Oni się widocznie trzymają zasady: „kłamcie, kłamcie, a zawsze z tego coś zostanie“.

Na wiele lat przed wojną wydali sobie socyaliści broszurę, p. t.: „Worek Judaszów“. Poniewierają w niej kościół i kapłanów, szydzą ze wszystkich świętości, drwią sobie z religii i z Bo-

ga. Wiarę w Boga np. porównują oni tam do wiary w czarnego psa. Jest to prawda! Jeśli mi nie wierzycie, możecie sami przeczytać! I ci ludzie chcą, żebyśmy nie walczyli z nimi? Chyba są z rozumu obrani, jeśli myślą, że trzeba im dać pokój. Takich zwalczać musimy, zwalczać aż do ostatniego tchu i to zwalczać w obronie religii i w obronie Boga. Kończąc ten artykuł, wyznajemy otwarcie: stoimy na zasadzie socyalizmu chrześcijańskiego t. zn. chcemy wyzwolenia ludu roboczego z pod panowania kapitalizmu, ale chcemy to robić z Bogiem i z Chrystusem, religią i wiarą. Ponieważ socyaliści czerwoni psują nam wiarę i moralność i starają się ją obniżyć, nam z nimi łączyć się nie wolno, nam trzeba walczyć z nimi, walczyć nie dlatego, że oni bronią robotnika, którego i my bronimy, ale dlatego, że oni robotnika psują odbierając mu wiarę i moralność.

Przyzwyczajanie dzieci do porządku.

Rozglądając się w świecie, widzimy, że w przyrodzie panuje porządek i że wszystko w swoim odbywa się czasie.

Słońce wschodzi i zachodzi z roku na rok o tejsamej godzinie.

Zima ustępuje wiośnie, wiosna ustępuje latu i tak dalej.

Drzewa i trawy zielenią się, dojrzewają i owoce wydają w stosownej porze roku.

Gdyby takiego w świecie nie było porządku, toby nikt nie wiedział, kiedy nastanie zima, a kiedy lato; nikt nie mógłby obrachować, kiedy będzie pełnia księżyca, a kiedy nów; nie mógłby powiedzieć, kiedy będzie wielkanoc.

Tak Pan Bóg świat urządził, a człowiek ma sobie z niego brać wzór, aby wszystko czynił w porządku i w swoim czasie. „Porządny" człowiek, to taki człowiek, który kocha porządek.

Zapraszam szanownych czytelników do porządnego domu.

Cóż tu spostrzegamy? Oto każde narzędzie ma wyznaczone miejsce i tam się zawsze znajduje, a kto potrzebuje piłki, łopaty, grabi, noży — ten wie, gdzie ma iść po nie, a nie potrzebuje długo tych rzeczy szukać. W takim więc domu jest miejsce na naczynia kuchenne, na narzędzia gospodarskie, na ubrania, na książki. Wszystko ułożone i ustawione tam, gdzie ma miejsce. Dom omieciony, łóżka pościelone, pajęczyna ze ścian i kątów pozmiatana, ściany wybielone, obrazy czyste, naczynia wymyte.

Przedsienie i pogródka wyłożone kamieniami, aby na nich nie było błota i aby w czasie deszczu nie było potrzeba ciągle brodzić po błocie i wodzie, ile razy się nogą za próg domu wychyli.

W domu tym o jednym czasie wstają i spać się kładą: w swoim też czasie jedzą i pracują. Czasem, gdy robota w polu pilna, obiad albo wieczerza nieco się spóźni, ale to tylko wyjątkowo.

W stajni bydełko także cieszy się porządkiem i dlatego wygląda dobrze. O jednej porze i punktualnie dostaje swoje jedzenie i picie; o jednej godzinie doją krowy, o jednej bydło w pole wypędzają i spędzają do stajni.

W domu tym dzieci są zdrowe i wesołe, gospodarz i gospodyni zadowoleni, a w komorze dostatek chleba.

Do takiego porządku powinny się przyzwyczajać dzieci od pierwszych chwil swego życia.

Gdy jeszcze dziecko leży w kolebce, stara się o to dbała matka, aby miało koło siebie czysto.

Gdy podrośnie, wskaże mu matka, gdzie ma załatwiać swe materyalne potrzeby. Gdy moczy w łóżku, nie bije go, ale w nocy wstaje, budzi je i każe mu odbyć swą potrzebę w miejscu stosownem. Dziecko wnet się przyzwyczai do tego, że w nocy samo się obudzi i łóżka nie zanieczyści.

Matka daje w swim czasie dziecku jedzenie.

Gdy matka każe coś dziecku zrobić, niech patrzy, by to było zrobione porządnie a zaraz. Dziecko odkładające pracę i naukę na późniejszą godzinę, nigdy się niczego nie nauczy i niczego porządnie i dokładnie nie zrobi.

Dziecko ma zawsze wszystko odnosić i składać na swoje miejsce: suknie, zabawki, obrazki, naczynia. Nie wolno mu tego po całym domu roznosić i gdziebądź porzucać. Jeżeli dziecko coś w niewłaściwem położyło miejscu, niech matka po niem nie sprząta i nie poprawia, ale rozkaże, aby ono samo to zrobiło.

Matka niech każe dziecku w swoim czasie wstawać i w swoim czasie iść do szkoły. Nieraz dzieci za wczas wychodzą z domu do szkoły, a potem się po drodze wałęsają, przy szkole broją, wyrządzają psoty. Wszak matka wie, jak długo dziecko potrzebuje iść do szkoły! Gdy nastanie wieczór, dzieci starsze i młodsze mają iść na spoczynek. Niedobra to matka, która pozwala swym podrastającym córkom lub synom wychodzić z domu do sąsiednich domów, albo pozwala na schadzki w swym domu wieczorami. Niczego się one dobrego przy tem nie nauczą.

Z pamiętnika żołnierza.

Dnia 21 maja, po burzy gradowej zdobyliśmy Hermanówkę i Rzepniów, następnie skierowaliśmy szczupłe nasze siły na Kurczę pod Buskiem. Zmoknięci do nitki, znęceni całodzienną walką, wyszliśmy jednak z humorem do ataku na przewa-

żające siły nieprzyjaciela, wołając na niego po rusku. Nieprzyjaciel myśląc, że to jego oddziały wracają, dopuścił nas na bliską metę, dopiero jak nasza wiara poczęła grać z karabinów — spostrzegli hajdamaki pomyłkę i wzięli nas pod celny ogień swoich kulomiotów. Na szczęście teren był świeżo zaorany, więc rychło się zagrzebaliśmy, unikając tym sposobem niechybnych strat w nowym oddziale. Długo leżeliśmy pod gęstym ogniem przeciwnika, czekając zmierzchu. W tej to niewygodnej pozycyi, doleciały mi jęki z prawego skrzydła, żołnierz z mojego oddziału został ciężko ranny. Dla mnie było za daleko przyjść z pomocą nieszczęśliwemu, więc kazałem najbliżej leżącemu zrobić opatrunek rannemu. Gdy nastał zmierzch zupełny, nieprzyjaciel zaprzestał ognia — gotując się do kontrataku. Wobec liczebnej przewagi wroga, musiałem wycofać mój oddział za rzeczkę, gdzie mogliśmy się skutecznie bronić — właśnie teraz była pora na to przesunięcie najodpowiedniejsza. Kiedy już przeszliśmy rzeczułkę wbród, spytałem żołnierzy o rannego i ku mojemu zgorszeniu, dowiedziałem się, że o nim zupełnie zapomniano. Nie mogłem znieść spokojnie tej rażącej nieuczynności koleżańskiej — zabrałem dwóch żołnierzy i wróciłem szukać rannego.

Znaleźliśmy już dogorywającego i tu spostrzegłem, że mimo rozkazu, rannego nie opatrzono. Konający uścisnął moją rękę ostatnim wysiłkiem z wdzięczności i słabym głosem opowiedział mi straszną prawdę, że go własny jego kolega ograbił z całej gotówki i nawet za tę cenę nie chciał udzielić pomocy.

Wymieniając nazwisko kolegi niecnego, ranny wykrzywił usta wzgardliwie; dwie duże łzy spadły mi na rękę z jego gasnących oczu. Skonał w boleściach bohater ze straszną wzgardą na ustach dla kolegi-szakala. Niepewny blask miesiąca oświecał ten bolesny dramat, dramat żołnierski. Gorycz zalała mi serce, myślą pierwszą wzywałem pomsty Boga nad niegodziwcem, który obecnością swoją kalał moją dzielną gromadkę. Całą noc czuwałem na pozycyi, myśli nie mogąc oderwać od wstrząsającego mą głębią obrazu na pobojowisku, w oczach mi ciągle stały usta wzgardliwie wykrzywione konającego. Na drugi dzień Bóg nam poszczęścił, zdobyliśmy Kupcze, gdzie pochowałem na święconej ziemi mojego bohatyra. Nad grobem jego chciałem powiedzieć słów parę pożegnania, ale żal serdeczny zdławił słowa moje, wskazałem tylko ręką na biały krzyż bez nazwiska nad świeżą mogiłą połyskujący, że tego pomści Bóg sprawiedliwy. W tej pamiętnej chwili wszyscy obecni poznali winowajcę, choć nie wymieniłem nazwiska jego, sam się zdradził swoiem zachowaniem, usiłując się śmiać drwiąco, usunęli się też od niego żołnierze, jak od zapowietrzonego; poczciwe, proste serca dzielnych wojowników zamknęły się na zawsze dla niegodziwca.

Po tym wypadku poszliśmy znów dalej zwycięzkim pochodem naprzód.

Nie długo czekaliśmy na sprawiedliwy wyrok nad grabiezcą, utopił się w bagnie pod Krasnem, nie dostąpił nawet tego zaszczytu, żeby od kuli zginąć, kule go omijały, ale sprawiedliwość boża nie ominęła zwyrodniałego złodzieja.

J. Massont.

Na Siewną.

Poprzez polską ziemię,
przez tę ziemię czarną,
idąc Matka Boża,
rzuca pszenne ziarno.

A kędy siew rzuci
Swoją świętą dłonią,
tam się w przyszłe lato
sierpy rozedzwonią.

Rozedzwonią sierpy
niby arfa śpiewna.
którędy dziś przejdzie
Matka Boża Siewna.

A gdzie na łan padnie
Jej błękitne oko,
tam wśród zbóż wystrzelą
bławaty wysoko.

A gdzie święta stopa
o cierń się zakrwawi,
tam się z przyszłą wiosną
mak czerwony zjawi,

Idzie poprzez ziemię,
naszą ziemię czarną,
Matka Boża Siewna
i rozrzuca ziarno.

O siejże nam, siejże,
święta Pracownico,
niech się łany złocą
żytem i pszenicą.

Niech się roześmieją
kwieciem nasze pola
i niechaj rozbłyśnie
szczęściem ludzka dola.

Ks. Franciszek Błotnicki.

Czytajcie Psalmy.

Pierwsi chrześcijanie, którzy na zawsze pozostaną wzorem żywej wiary i pobożności, mieli tylko jedną książkę do nabożeństwa, a książką tą był zbiór psalmów czyli t. zw. psałterz. Po modlitwie Pańskiej: „Ojcze nasz“, której nauczył ich sam Pan Jezus, nie znajdowali oni modlitwy piękniejszej i rzewniejszej, nad psalmy. Więc też wszyscy prawie umieli je na pamięć i śpiewali lub odmawiali w domu i w podróży, w odpoczynku i przy pracy, w potrzebach publicznych i prywatnych, wogóle we wszystkich ważniejszych wypadkach życia. Jeszcze długo potem za św. Hieronima, a więc około r. 400 był w Betlehem, gdzie ten Święty długi czas przepędził, prawie powszechny zwyczaj śpiewania psalmów. Pisze bowiem św. Hieronim, że w Betlehem „nic prócz psalmów nie posłyszysz. Rolnicy przy pługu i żeńcy na polu i robotnicy w winnicach, wszyscy psalmami się krzepią, każdy coś z pieśni Dawidowych nuci“.

I nic w tem dziwnego. Bo naprzód psałterz jest książką, jaka powstała pod natchnieniem Ducha św. Każda inna książka do nabożeństwa, każdy inny modlitewnik jest dziełem ludzkiem, psałterz jest dziełem samego Boga, który dał natchnienie Dawidowi do wysnucia z głębi swej duszy tych prześlicznych, podniosłych pieśni.

Powtóre — kochali się pierwsi chrześcijanie w psalmach dlatego, ponieważ pamiętali i od naocznych świadków wiedzieli, że słowami psalmów modlił się często Pan Jezus. Co do tego, niema najmniejszej wątpliwości, że tak było. Hymnem, psalmami zakończył Zbawiciel ostatnią swą Wieczerzę, ze słowami psalmu: „Boże mój, Boże mój, czemuś mię opuścił?“, umierał na krzyżu. Odmawiała psalmy Matka Jego Najświętsza, odmawiali je Apostołowie. Męczennicy, wyznawcy, pustelnicy i cały niepoliczony zastęp bohaterów naszej wiary świętej. Domy pierwszych chrześcijan, podziemia rzymskie rozbrzmiewały echem psalmów, a przykład ten porywał i zapalał młodsze pokolenia.

Wreszcie pierwsi wyznawcy Chrystusa dlatego lubowali się w psalmach, bo w psalmach zawarta jest głębia uczuć i myśli, bo psalmy w swej zewnętrznej szacie są poezyą. Niema w życiu naszem publicznem i prywatnem żadnego ważniejszego wypadku, niema takiego stanu wewnętrznego duszy, niema żadnych potrzeb ziemskich i duchownych, do których nie dałyby się zastosować te święte pieśni. „Psałterz — powiada św. Bazyli — zawiera w sobie z całego pisma św. to, co pożyteczne jest dla wszystkich. W jasnych przepowiedniach odkrywa on przyszłość, podaje prawidła życia świętego, przypomina każdemu jego obowiązki. Psalm jest odpoczynkiem duszy, sprawcą pokoju; psalm daje nam największe dobro, jakie jest pod słońcem, to znaczy miłość. Psalm jest wołaniem całego Kościoła. I czegóż cię ta księga psalmów nie nauczy? I odwagi i sprawiedliwości i umiarkowania i roztropności i cierpliwości i skruchy prawdziwej i wszystkiego dobrego, o którem mówi. Zaprawdę w księdze tej ukryte są niewyczerpane skarby wiedzy Bożej“. Św. Augustyn wspomina z rozrzewnieniem, że płakał przy tych hymnach i pieśniach, wzruszony głosami Kościoła świętego. „Te głosy psalmów — pisze on — wnikały w uszy moje, a prawda wpływała do serca mego i rozżarzała uczucia pobożne i płynęły łzy i tak mi dobrze było z niemi“. Z podobnym zapałem piszą o psalmach i unoszą się nad nimi i inni.

Dziś psalmy są w zapomnieniu. Znają je jeszcze ludzie w wyjątkach, jakie śpiewamy w niedziele i święta na nieszporach, znają je w kształt wiersza ujęte — pozatem o psalmach nic się nie mówi, nie pisze i nigdzie się z niemi nie można spotkać. A jednak szkoda to nader dotkliwa i dobrzeby było, abyśmy wzięli do swej ręki Psałterz Dawida i zaczęli się na nim modlić w domu czy w kościele. Z pewnością ogromnie skorzystalibyśmy z niego dla duszy, z pewnością pokochalibyśmy go, gdybyśmy się tylko wczytali w niego, gdybyśmy się powoli przyzwyczaili do sposobu, w jaki natchniony śpiewak Pański myśli swe i uczucia wyraża. Ś. p. Ks. Arcybiskup Symon chciał uprzystępnić psalmy szerokim warstwom, przeto przetłómaczył je z języka hebrajskiego i wydał przed laty. Książeczka ta spotkała się z żywem odczuciem społeczeństwa i przyjętą została bardzo życzliwie. Są jeszcze do nabycia pozostałe egzemplarze, liczące 300 stron, w oprawie, po cenie bardzo niskiej, bo siedem koron, w Redakcyi (Kraków, Plac Maryacki 2). Chcielibyśmy tę książkę rozpowszechnić pomiędzy ludźmi, aby nie było ani jednego domu polskiego, w którymby brakło psałterza, chcielibyśmy, aby psalmy stały się znowu modlitewnym głosem dzisiejszych pokoleń i w tym celu prosimy wszystkich, by tę książeczkę rozszerzali i zjednywali jej nabywców.

O złej książce.

I. Jej ujemny wpływ na moralność.

Gdyby ktoś nieświadomy czytał to, co dotad o książce napisałem, mógłby sobie powiedzieć: a zatem trzeba na gwałt chwytać za książkę i czytać, jak najwięcej, wszystko, co się tylko da. — Mógłby tak sobie powiedzieć, ale tylko ten, kto nie zna ludzi, kto każdemu wierzy i nigdy u drugich nic złego nie widzi. Doświadczony człowiek wie, że w wielkiej społeczności ludzkiej obok dobrych są źli, przewrotni, a nawet tacy, co nie po-

przestają na własnem zepsuciu, lecz i drugich chcą psuć. Tak jest i pomiędzy autorami książek. Wielu z pomiędzy nich uczciwi, zacni, o zasadach zdrowych, moralnych i religijnych, — takie też piszą książki, jaką mają duszę. Są jednak i inni: utracili wiarę, poszanowanie dla moralności, ci z duszy pełnej zła snują myśli i w złych je wypowiadają książkach. A więc nie wszystko, co drukowane, powinno się czytać: jak unikasz ludzi o przewrotnych zasadach, omijasz ich, bojąc się dla siebie szkody, tak nie bierz do ręki książki, o której wiesz, że jest zła, a gdyś nie wiedząc o tem zaczął czytać, odrzuć od siebie. Dlaczego? Wszak — jeśliś starszy, powiesz mi — nie jestem dzieckiem, nie dam się zbałamucić; jeśliś młody, powiesz: kształcić się chcę, więc wszystko powinienem czytać!

Na pierwszy zarzut odpowiem ci: książka szkodzi dziecku najwięcej, to prawda, ale szkodzi i starszemu, a szkodzi dlatego, że każdy człowiek ma skłonność do zepsucia, do złego; nie szkodziłaby tylko tym, którzyby nigdy w sobie nie czuli pociągu do złego, a czyż możesz się za takiego uważać?

Młodzi mówią: kształcić się muszę, więc muszę wszystko wiedzieć, wszystko czytać, nawet to, co złe, szkodliwe! Tak? A gdy ci matka pewnego razu powie: nie jedz tych grzybów, bo one trujące, cóż wtedy zrobisz? Czy także powiesz: młody jestem, uczyć się muszę, wszystko poznać — i czy będziesz próbował na sobie jadu tych grzybów? Chyba nie! Wierz więc starszym, gdy ci mówią, że książka ma w sobie truciznę. „A to będę zawsze głupi, inni będą czytać złe książki, będą o nich mówić, a ja ich nie będę znał!". — Prawda, mniej będziesz od nich wiedział, ale takich rzeczy, z których znajomości uczciwy człowiek się nie chwali. Dlaczego uciekasz od kanałów, rynsztoków? Bo cię smród od nich powstrzymuje! Chcesz wszystko wiedzieć, to czemu nie idziesz do nich, nie nurzasz się w błocie, by je poznać?

A doprawdy są takie książki, które cuchną, jak rynsztoki — to te, które podkopują moralność. Są to najczęściej powieści, romanse, rzadziej dramaty grywane na scenie lub poezye niemoralne. Są pisarze, którzy w swoich utworach dowodzą, że rozpusta nie jest grzechem, że sile namiętności człowiek oprzeć się nie potrafi, a więc zachęcają do niemoralności. Inni przedstawiają życie w ten sposób, że ono jest smutne, że jedyną jego przyjemnością jest nieczystość. Inni wreszcie opisują wprost bezwstyd sam, popełnianie niemoralności. I cóż się dzieje? Człowiek jest słabą, nędzną istotą; ma w sercu odziedziczoną z grzechem pierworodnym skłonność do złego. Ona tam jest gdzieś na dnie duszy i śpi spokojnie; nie ruszaj jej, to tak zostanie; ale kiedy ją coś obudzi, poruszy, zerwie się, jak dzikie zwierzę, zęby pokaże, wołać będzie o żer, namiętność żądać będzie zaspokojenia; jeśli słaba będzie dusza, to doprowadzi do występku. Cóż więc z tego wynika? To, że trzeba jej pozwolić spać, nie budzić jej, a budzi ją myśl zła, uczucie takie, rzucenie wzrokiem nieraz, czytanie książki niemoralnej, a zwłaszcza to ostatnie. Wszak przy czytaniu jej (a im więcej jest zajmująca, tem gorzej, bo silniej działa) przy czytaniu jakiegoś niemoralnego opisu powstaje w twej wyobraźni obraz, który chciał autor namalować, a potem złe uczucie, pragnienie; zamkniesz książkę, oddasz się swoim obowiązkom, mimo to ten obraz w twojej wyobraźni jest, widzisz go niejako oczyma i dalej osłabiająco na twoją wolę działa.

Przykład drugich jest bardzo częstym powodem zepsucia; bo lubi się człowiek kierować zdaniem, czy postępowaniem drugich, śmielej mu jest; myśli sobie: może on i tamten, mogę i ja, — jemu wolno, czemu ma być mnie nie wolno. Z tego właśnie powodu zabójczo na moralność działają powieści niemoralne, czyli romanse. Bo czytając je patrzysz wprost na sam grzech, przypatrujesz się mu; przypominasz sobie, jak to i ty w podobnych czasem znajdujesz się warunkach, wśród takich osób. A więc myślisz sobie — mogą oni, mogę i ja, choć może wiesz, że to ludzie zmyśleni, których nie było. W ten sposób dokonywa się przeważna liczba wypadków zepsucia wśród młodzieży.

Do śmierci będę pamiętał następujący fakt z lat mych studyów gimnazyalnych. Chodził ze mną do szkoły chłopiec z pobliża mojej miejscowości rodzinnej. Ojcowie z trudem zdobyli się na opłacanie kosztów utrzymania; do czegóż jednak nie byliby zdolni, skoro chłopiec był zdolny, pobożny, obiecujący! Chcieli go uchronić od złego, więc po długiem szukaniu „stacyi" umieścili go w pewnym zakładzie księży. Oczywiście miejsce idealne, — otaczała go atmosfera religijności, czystości obyczajów. Więc było dobrze! Aż nagle po kilku latach ni stąd, ni zowąd gruchnęła wieść, że to chłopiec zepsuty, i że się dopuścił występku niemoralnego. Zachodzono w głowę, co się z nim stało. — rodzice zdrętwieli z przerażenia. I cóż się pokazało? Przy przenoszeniu się chłopca z zakładu znaleziono wstrętną, niemoralną książkę, której najbezwstydniejsze miejsca pozakreślał sobie i różnymi dopiskami opatrzył. Zrozumiano, że ta książka była jego szkołą, że ona pchnęła go na drogę występku. Trzeba było nieszczęścia, by z niej zeszedł. Bo w niedługi czas po tym wypadku umarł mu ojciec; powiadano — i wierzę temu — że postępek syna wpędził go do grobu. Dopiero ten fakt i następnie nędza matki, która z uszczuplonego na kształcenie syna majątku utrzymać się nie mogła, upa-

minęły go. Dziś znam go jako porządnego, uczciwego i religijnego człowieka.

Wypadek ten, na który sam patrzyłem, za którego prawdziwość biorę zupełną odpowiedzialność, przypomniał mi się przy pisaniu artykułu o szkodliwym wpływie książki. Gdybym wiedział, że się to na co przyda, opisałbym go szeroko i w tysiącach egzemplarzy rozrzucił jego opis po szkołach, domach, ulicach, by pokazać na żywym, bolesnym przykładzie niezmierne krzywdy wyrządzane społeczeństwu przez romanse. Wielu wyśmiałoby pewnie moje uwagi; sądzę jednak, że trafią on do przekonania naszych czytelników.

A więc omijaj błoto niemoralnej książki, jak je omijasz na drodze! Błoto każde plami!

Ks. J. P.

Cnota oszczędności.

Wszyscy ludzie wytężają swoje siły i zdolności w celu zdobycia, utrzymania oraz zabezpieczenia sobie niezależnego bytu. Człowiek, który sam nie potrafi zabezpieczyć swego utrzymania, staje się ciężarem bliźnich; życie kosztem innych usprawiedliwia tylko zupełna niezdolność do pracy; człowiek zdrowy pracować musi i powinien, gdyż tylko praca zapewnia możność życia.

Ponieważ nie możemy przez całe życie pracować z jednakowem natężeniem zwłaszcza, że zachodzą nieprzewidziane wypadki jak chwilowy brak pracy, choroby, kalectwo, niedołężna starość itp., przeto powinniśmy te możliwości mieć na uwadze i tak swą pracą pokierować, aby sobie przyszłość dostatecznie zabezpieczyć. Drogą do zapewnienia spokojnej i pewnej przyszłości jest praca połączona z oszczędnością.

Oszczędność — to siostra pracy; praca prowadzi do mienia, oszczędność zaś tem mieniem rozumnie gospodarzy i stwarza bogactwo.

Sama praca nie zapewnia niezależnego bytu. Ileż to ludzi zdrowych i pracowitych niema nieraz grosza na niezbędne potrzeby! Ileż jest ludzi, którzy po pracowicie spędzonej młodości, kończą życie w nędzy. Ileż to widzimy dzieci, których rodzice uchodzili za zamożnych, a po śmierci nie pozastawili im kawałka chleba!

Przykłady te udowadniają nam, nikt nie wie, jakie go czekają koleje życia; dziś można ciągnąć z pracy dobre zyski — jutro może ich zabraknąć; przezorność w oszczędzaniu stanowi dla każdego człowieka, a tembardziej rzemieślnika i robotnika ochronę przed niedostatkiem, pozwala przetrwać chorobę lub bezrobocie, a w razie kalectwa nie pozostawia bez środków do życia.

Żyjący z dnia na dzień mogą w każdej chwili popaść w nędzę, a gdy chwilowo zabraknie pracy, nie mogą przeczekać i wyszukać sobie zyskownego zajęcia, lecz zmuszeni są brać to, co im ktokolwiek ofiaruje.

Oszczędność należy jednak odróżniać od skąpstwa i rozrzutności. Skąpiec żałuje sobie pożywienia, przyzwoitej odzieży, wygodnego pomieszkania, odmawia wsparcia bliźnim w potrzebie. Marnotrawca zaś dogadza sobie zbytecznie i trwoni grosz nieopatrznie, a gdy mu tego grosza nie stanie, pożycza od innych i najczęściej nie oddaje.

Tylko oszczędność stwarza byt niezależny, zapewnia u ludzi szacunek i poważanie, a każdemu daje spokój i zadowolenie, wynikające z przeświadczenia, że majątek swój zawdzięczamy własnej pracy. Przedewszystkiem my, Polacy, powinniśmy jak najbardziej przejąć się cnotą oszczędności, tembardziej, że jesteśmy w porównaniu z innymi narodami bardziej ubodzy, a historya naszego narodu najwymowniej świadczy, jak rozrzutnymi byliśmy dotychczas. Po obecnej wojnie nasz kraj zupełnie wyniszczony i wyczerpany, czeka nas więc bardzo trudne i ciężkie zadanie materyalnej odbudowy Ojczyzny.

W obecnych czasach pieniądz jest najważniejszym czynnikiem w stwarzaniu pomyślności krajów i narodów. Bogactwo kraju jest wynikiem zamożności obywateli, a bez oszczędności niema zamożności. Wymownym przykładem niech nam będzie chociażby Francya, której obecnie mamy sposobność przyglądać się uważnie a jest ona tak bogata, że po pokryciu potrzeb pożycza pieniędzy połowie świata.

Bogactwo Francyi jest wynikiem pracy i oszczędności każdego poszczególnego jej obywatela. Przypatrzmy się życiu jakiegokolwiek francuskiego robotnika, a zauważymy zaraz jego podziwu godną oszczędność, która zapewnia mu na starość wygodne utrzymanie w postaci renty.

Oszczędność stwarza różne zakłady publiczne, jak np. kasy oszczędności, towarzystwa ubezpieczeń, kasy bratniej pomocy, towarzystwa akcyjne, spółki handlowe, przemysłowe itp. Zakłady te umożliwiają tworzenie najrozmaitszych przedsiębiorstw, które dają zarobek wielu tysiącom ludzi. Ponieważ oszczędność Polaków była dotychczas bardzo mała, dlatego też nie posiadamy dostatecznej ilości banków i spółek przemysłowych; jesteśmy zależni od obcych kapitałów, a setki tysięcy polskich robotników, muszą wyjeżdżać za zarobkiem za granicę i wzbogacać swą pracą inne narody. Dobrobyt jakiegoś kraju wynika więc z oszczędności jego mieszkańców, każdy członek społeczeństwa powinien oszczędzać nietylko ze względu na swoje dobro, lecz też dla pomyślności ogółu.

Popędliwości ciała dopóty w nas drzemią,
Dopóki duch w gościnie kędyś ponad ziemią.

Bohdan Zaleski.

Anonimy.

Anonim znaczy tyle, co bez imienia. List anonimowy, to list bezimienny, list z zatajonem własnego imienia i nazwiska.

Czy wolno zataić nazwisko swoje? — Wolno autorom, którzy wydali dzieła pożyteczne, którzy ze skromności nazwiska swego nie wyjawiają. Wolno temu, który czyni dobrze, aby nie wiedziała lewica, co czyni prawica.

Ale nie wolno wysyłać anonimów, t. j. listów anonimowych, żeby bliźniego swego udręczyć. Dla czego wysyłający listy anonimowe, nazwiska swego nie wyjawiają? Bo treść wysyłanych listów anonimowych jest zawsze niegodna i zwróciłaby się przeciwko samemu autorowi listu.

Listy anonimowe bywają zwykle przebiegle obmyślane, aby każde słowo raniło do głębi. Tem większa jest radość anonima, im więcej sprawi nieszczęścia. Tego pożąda całą swą marną i nędzną duszą.

Są tacy, co piszą anonimy, aby rzuciwszy podejrzenie, ludzi skłócić, wzbudzić wzajemną nieufność, wreszcie nienawiść.

Ileż ludzie tacy sprawili nieszczęścia! Ile małżeństw dla nich się rozwiodło, ile osób chleba pozbawiono! A któż opisze owe cierpienia moralne, jakich byli sprawcami?

Inni są, co pragną dopiec, dogryźć, udręczyć. Korzystają z każdej okazyi, aby pod pozorem mówienia prawdy, obrzucić błotem. Przed ich nikczemnością nic się nie obroni — ani zasługa, ani nauka, ani praca, ani godność, ani wiek, ani dostojeństwo!

W Polsce zawsze karano surowo oszczercę i obmowcę — musiał w sali sądowej wejść pod ławę, szczeknąć trzy razy jak pies, a potem potwarz odszczekać, t. j. głosem psim, szczekającym, odwołać i przepraszać. Dopiero gdy „odszczekał“, wolno mu było wyjść z pod ławy i chyłkiem się wynieść, aby nie oberwać jeszcze psich batów. Jakby w dawnej Polsce karano za listy anonimowe!

Każdy list anonimowy — to broń straszna; a jak straszna — tak podła!

A choćby to żart miał być, jeśli krzywdę czyni — podły jest!

Nie wysyłajmy więc nigdy anonimów, bo każdy anonim, który sprawia przykrość, jest robotą nieszlachetną. Bawić się cudzem udręczeniem, to bardzo brzydko.

Jeśliby kto sam otrzymał anonim, któryby mógł zakłócić jego spokój, to uczynić z nim należy, jak na to zasługuje. Nie wytężać umysłu, ktoby mógł go wysłać, bo wzbudzić może podejrzenie na niewinnych — ale rzucić go w piec i nie myśleć o jego treści.

Żona — głowy męża koroną.

Kto posiada dzielną, rozumną i pobożną żonę, ten musi czuć się szczęśliwym — gospodarna i dobra żona jest bowiem szczęściem swego męża, na to nie potrzeba dowodów, gdyż życie codzień to stwierdza wymownie.

Zarówno ludzie uczeni, mężowie stanu, jak i robotnicy i rzemieślnicy są tegoż samego zdania: Żona dobra i rządna — koroną jest swego męża i ozdobą domu; żona, źle pełniąca swe obowiązki — nieszczęście i wstyd mężowi i rodzinie przynosi. Dużo przykładów i zdań wielu ludzi możnaby tu przytoczyć, ograniczamy się jednak tylko do tego, co powiedziało dwóch mężów, na ziemi amerykańskiej niegdyś działających.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Cleveland, przybywszy do miasta St. Paul, takie zdanie w mowie swej umieścił:

„Nie domyślacie się nawet, ile mam wdzięczności dla waszego miasta. Tu wychowała się i wykształciła się kobieta, która obecnie jest moją żoną. Szczerze i otwarcie przyznać muszę, iż posiadanie takiej żony przyniosło mi w życiu więcej szczęścia niż wszystkie dostojeństwa, zaszczyty i honory“.

Franklin zaś, któremu Ameryka obok Waszyngtona zawdzięcza swą wolność i niezależność, spostrzegał z okna swej pracowni w Filadelfii pewnego robotnika, który pracując przy budowli, zawsze był w wesołym humorze i dla każdego przechodnia miał uprzejmy uśmiech.

Chociaż dzień był ponury i zimny, na twarzy jego zawsze była pogoda. Pewnego dnia spotkał Franklin owego robotnika na ulicy i zpytał go: „Powiedz mi, dlaczego jesteś zawsze tak wesoły? Kryje się w tem jakaś tajemnica“. „Moja tajemnica“, odrzekł robotnik, „to moja dzielna kobieta. Mam jedną z najlepszych żon na świecie. Gdy wychodzę do pracy, obdarza ona mnie zawsze na pożegnanie dobrem słowem i pocałunkiem. Gdy powracam, wita mnie zawsze uprzejmym uśmiechem, a dzieci skaczą wesoło około mnie. Jedzenie proste, ale smaczne i dobre, zawsze jest już gotowe i podczas gdy siedzimy przy stole, lub po jedzeniu jeszcze z godzinkę rozmawiając, to widzę, że jej cała uwaga skierowana jest ku temu, by mi jak najbardziej dom uprzyjemnić i różnemi małemi rzeczami sprawić mi radość“.

Tak mówił amerykański robotnik, a czy wszyscy nasi polscy robotnicy powiedzą to samo o swoich żonach?

Szyderstwo jest ciężkim grzechem, a grzech ten powiększa się w miarę uszanowania, jakiemy winni osobie, z której szydzimy.

(Św. Tomasz z Akwinu).

Wesołość.

Jeżeli zdarzy się na spotkać człowieka o bardzo szlachetnym charakterze i wybitnej dobroci serca, wtedy człowiek ten najczęściej jest miły w obejściu i wesoły.

Wesołość często jest objawem wewnętrznej harmonii, duchowego spokoju. Wesołość niezmiernie miłą jest zaletą, ożywia i rozwesela drugich, pozwala zapomnieć na chwilę o troskach życia, ośmiela osoby nieufne i skryte i zacieśnia węzły przyjaźni i miłości.

Szkoda, że nie umiemy być weselszymi! Starajmy się przynajmniej o tę wesołość miłą, spokojną, zawsze równą, która pomaga do znoszenia tych małych, ale przykrych i uciążliwych trudów życia, które każdemu z nas przypadają w udziale. Starajmy się koniecznie, aby atmosfera domu naszego była słoneczną, jasną i wesołą.

Wesołość ogromne ma znaczenie w wychowaniu, większe niż na ogół sądzić można. Często jednem wesołem, dowcipnem słowem, jednym lekkim żarcikiem więcej dokonać można, niż surowem napomnieniem. Jak muchy na miód, tak chciwym jest umysł młodzieńczy na wesołość.

Są rodziny, w których prawie niema wesołości. Swary, kłótnie, przykre słowa, gorzkie wyrzuty, oto codzienny pokarm ich dusz. Cierpią nad tem wzajemnie członkowie rodziny, cierpią najwięcej dzieci, bo każdy żywszy objaw wesołości stłumiony zostaje ostrem słowem: nie rusz, nie rób tego, nie wolno. Czemu nie powie ta zgryźliwa matka lub ojciec: nie ruszaj tamtej książki, ale weź tę oto książeczkę, oglądaj w niej obrazki. Czemu nie obmyśli dziecku, ustawicznie pragnącemu zajęcia, jakiejś rozrywki, któraby je rozweseliła i uchroniła od znudzenia i grymasów.

Gdy z wierzchu patrzym na przedmioty, maleją w oczach naszych. Tak i dla umysłu, który się wznosi wysoko, maleją rzeczy ziemskie.

Św. Franciszek Salezy.

Lincoln jako adwokat.

Przed sądem jednego z miast amerykańskich, stanął ongi człowiek, oskarżony o morderstwo. Wszystko przemawiało przeciw niemu, obrońca jego jednakże miał głębokie przekonanie o jego niewinności i pewnym był, że przeciw jego klientowi istnieje nikczemne sprzysiężenie osobistych jego wrogów. Dla tego też poddał świadków krzyżowym pytaniom.

— Czy jesteś pan pewnym, że morderstwo miało miejsce w nocy 17 lutego?

— Tak, zupełnie pewnym.

— I widziałeś pan mordercę?

— Oczywiście, noc była księżycowa.

Adwokat zawezwał innych świadków i wszyscy kolejno zeznawali zgodnie, że morderstwo spełnione zostało w nocy 17 lutego i że widzieli mordercę.

— Jakże mogliście poznać go w nocy?

— O, mogliśmy, bo noc była jasna, księżycowa.

Adwokat polecił zaprotokołować zeznania świadków. Potem wyjął kalendarz i na podstawie tegoż dowiódł, że nocy owej księżyc nie pojawił się wcale na niebie. Na skutek tego oskarżony został uwolniony od zarzutu, świadkowie natomiast uwięzieni w sali sądowej za krzywoprzysięstwo.

Adwokatem owym był Abraham Lincoln, który w kilka lat później został prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Zdania i myśli.

Z Ksiąg Mędrców wschodnich.

Przyjaciele, znajdź się przy mnie w niedostatku moim, a nie w zbytku...

Całego wołu połknął, ale ogona zgryść nie potrafił.

Głupiec będzie mi wskazywał drogę, którą iść niepowinienem.

Mienie skąpca pożrą hulaki.

Złodziejowi wszyscy są chętnie coś winni: któżby nie obawiał się niegodziwego?

Wziąłem na kredyt, jadłem, piłem i mówiłem, że to zesłanie Boże; nadeszła pora zwrotu, wówczas utrzymywałem, że Bóg zawzięty jest na mnie.

Nie jesteś walecznym, niechże przynajmniej oczy twoje patrzą dziko na świat.

Nurka nie sądź po tem, jak się zanurza w wodę, ale jak się wynurza.

Kto pogardza własnem, ten musi ze łzami płacić za cudze.

Z krewniakiem jedz i pij, ale nie rób z nim interesów.

Jeśli cię ściga król, uciekaj; jeżeli Bóg, usiądź w miejscu.

Twarze, które się nie pokazują, gubią się rychło w niepamięci.

Zanim się utopisz, zapłać za drogę.

Gdzie przyjacielem jesteś, nie pożyczaj; gdzie kochasz, nie zachodź często.

Chowaj dobrze swe mienie, abyś z sąsiada nie zrobił złodzieja.

Dwóch przekona jednego, trzech go pokona.

Cudza boleść — to sen.

SCENA ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Nr. 1. „Za Naczelnikiem“.
Nr. 2. „Ksiadz Patron jedzie“.
Nr. 3. „Wróżka Dora“.
Nr. 4. „Czcij ojca twego i matkę twoją“.
Nr. 5. „Z męczeńskiej krainy Podlasia“

Każda z tych sztuk teatralnych kosztuje 2 K. Przy zamówieniu wszystkich czterech cena 6 K.

Do nabycia w **„Sekretaryacie katolickich Stowarzyszeń robotniczych“**. Kraków, pl. Maryacki 2.

TAMZE SĄ DO NABYCIA:

„Jak pracować w Stowarzyszeniach młodzieży“.
Ks. prob. Andrzej Paryś, — 1 K.
„O pracy w Stowarzyszeniach dziewcząt“.
Ks. prob. Andrzej Paryś, — 1 K.
„Doświadczenia, poczynione w pracy nad młodzieżą“.
Ks. Stanisław Sapiński — 1 K.
„Wydział przy pracy w Stowarzyszeniu“.
Ks. prob. Andrzej Paryś — 2 K.

„ROBOTNIK POLSKI“

Pismo poświęcone sprawom chrześcijańskiego ludu pracującego.

Wychodzi na każdą niedzielę. Powinno się znaleźć w ręku każdego robotnika, zajętego w przemyśle, handlu, czy na roli. Prenumerata rocznie 18 K., półrocznie 10 K., kwartalnie 5 K.

Adres Redakcyi: **Kraków, plac Maryacki L. 2.**

Na żądanie wysyła się numery okazowe.

„MŁODZIEŻ POLSKA“

Organ „Katol. Stowarzyszeń młodzieży polskiej“ zatrudnionej w przemyśle, kupiectwie i rolnictwie.

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata wynosi: rocznie 5 Kor.

Pismo to powinien mieć w ręce każdy, komu leży na sercu przyszłość naszej młodzieży.

Adres Redakcyi: Kraków, Plac Maryacki 2.

Na żądanie wysyła się numera okazowe.

ŚWIĘCENIA KAPŁAŃSKIE

czyli Modlitw i Obrzęd Kościelne

przy udzielaniu Sakramentu Kapłaństwa dla ludu wiernego objaśnił X. J. K. stron 78. Cena 1 K. 50 hal. **Do nabycia w „Czytelni Księży“** Kraków, plac Maryacki 2 za poprzedniem przesłaniem należytości.

„KOBIETA POLSKA“

Organ „Związku kat. Stowarzyszeń kobiet i dziewcząt pracujących“

Wychodzi raz na miesiąc.

Prenumerata roczna wynosi 4 kor.

Kto chce poinformować się o ruchu i pracy w stowarzyszeniach kobiet pracujących, winien zaprenumerować tę gazetę.

Adres Redakcyi: Plac Maryacki l. 2

Na żądanie wysyła się numera okazowe.

„WIELKI TYDZIEN W KOSCIELE“

napisał ks. Teodor Czapuła.

Książka ta jest to modlitewnik na czas Wielkiego Tygodnia od niedzieli Palmowej począwszy. Zawiera wszystkie modlitwy, pieśni, ceremonie kościelne w czasie Wielkiego Tygodnia w kościele sprawowane. Zamawiać można pod adresem: **„Czytelnia Księży“** Kraków, Plac Maryacki l. 2. Książkę wysyła się tylko za poprzedniem przesłaniem należytości. Cena 3 kor., z przesyłką poleconą 3 kor. 65 hal.

„CHRYSTUSA OPOWIADAJCIE“

Słówko w piekącej sprawie.

Uwagi dla kaznodziei o głównym przedmiocie kazań. Napisał **Benedykt F. Ioscher**, przełoż. Kapłan dyecezyi Krakowskiej. Wydawnictwo Towarz. kapłanów „Czytelni Księży“. Cena 4 kor. Do nabycia w „Czytelni Księży“, Kraków, plac Maryacki l. 2.

„Venite adoremus“. Nowenna z adoracyi Najśw. Sakramentu. S. M. A. Cena 1 K. 50 h. — Do nabycia w „Czytelni Księży“ Kraków, pl. Maryacki 2.

„Psałterz Dawidowy“ dla użytku wiernych, przełożył ks. Franciszek Albin Symon, arcybiskup, z dodaniem kilku pieśni biblijnych i niektórych modlitw powszechnie używanych. Cena 4 kor. 65 hal. z przesyłką poleconą.

„Skarby Liturgii mszalnej“ napisał ks. Teodor Czapuła. Str. 28. Cena 30 hal.

„Nauki rekolekcyjne“ dla robotnic. Cena 1 K.

„Poezye“ Ks. Stanisław Sapiński, Cena 3 K.

Jasiek-Ksiedz. — X. Stanisław Sapiński. — Opowiadanie ludowe. Cena 2 korony. Do nabycia w Administracyi „Polskiego Siewu“, Kraków, pl. Maryacki 2.

W Administracyi „W Obronie Prawdy“ są do nabycia

Roczniki z r. 1915, 1916, 1917, 1918.

Nieoprawne po 4 kor.

„LIST DO RZYMIAN“

z komentarzem

w tłómaczeniu ks. Fr. Symona, arcybiskupa. Cena 2 kor. z przesyłką poleconą 2 kor. 65 hal.

Czytelnia księży — Kraków, pl. Maryacki l. 2.

W Krakowie wychodzi pod redakcyą Ks. JÓZEFA MAZURKA

„GŁOS EUCHARYSTYCZNY“

pismo miesięczne dla kapłanów i wiernych, poświęcone szerzeniu czci dla Przenajśw. Sakramentu Ołtarza.

Przedpłata roczna wynosi: Koron 5.—, Marek 4.—, Rubli 2.—, Dolar 1.—

Redakcya i Administracya: Kraków, ulica Warszawska Nr. 1.

WYDAWCA KS. LUDWIK KASPRZYK. ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: KS. ST SAPIŃSKI.
Drukarnia „Głosu Narodu“ w Krakowie.